NAPISZ ARTYKUŁ I **WYGRAJ iPADA!**

koncept

DWUTYGODNIK AKADEMICKI NR 6 21 STYCZNIA-3 LUTY 2013

w tym NUMERZE:

GRZEGORZ KOSTRZEWA-ZORBAS

Istnieje pewna sprzeczność między uwielbieniem dla profesorów, a brakiem uznania dla młodych naukowców. Nie wiadomo więc skąd się mają brać kolejni czczeni i obstawiani przez kamery profesorowie, jeżeli młodzi doktorzy są fatalnie traktowani. STR.4-5

JAROSŁAW HEINZE

Ależ ta Ameryka głupia. I szkodliwa. Żeby głupia i szkodliwa była tylko dla siebie i u siebie. Gdzie tam, oni wszystko muszą mieć największe i najgrubsze – na przykład afery. Tylko jak to jest, że z tymi aferami potrafią też najskuteczniej walczyć? STR. 6-7

PIOTR GURSZTYN

Czy można zawsze potępiać tych, co „poszli w bój bez broni"? Robotnicy w Poznaniu w 1956, Trójmieście 1970, wreszcie cały ruch „Solidarności" to było pójście "w bój bez broni". Nikt nie potępia tych wybuchów. W przypadku powstania styczniowego dobrze też jest je poznać, aby móc potem wyrokować. STR. 8

ROBERT MAZUREK

Gdyby pan redaktor nie ograniczał się do lektury pudelka i bruku - o czym z niejaką dumą donosi – to może dałoby się wyjść poza krąg serialowych gwiazdeczek i ich kłopotów? STR. 12

KIEDY ZNOWU JAKIŚ POLAK DOSTANIE **NAUKOWEGO NOBLA?**

Naukowy Nobel miałby kapitalny wpływ na postrzeganie Polski, przede wszystkim polskiej gospodarki i nauki. A co za tym idzie, byłby zachętą dla inwestorów, grantodawców, naukowców

Nagród jest wiele, ale tylko ta tak pobudza wyobraźnię. Naukowy Nobel powinien stać się jednym z najważniejszych polskich celów. Powodów, by wreszcie polski, pracujący dla krajowej uczelni naukowiec otrzymał to najbardziej znane wyróżnienie jest aż zanadto. Niestety dla nas nie mają szans na to matematycy, badacze rozwijający weterynarię, informatycy - w tych dziedzinach po prostu Nobli nie ma. W kontekście nagrody dla Polaków najczęściej mówi się o astrofizykach. Ale przeważnie mówi się o nich nad Wisłą, bo ostatniego polskiego Nobla naukowego otrzymała genialna Maria Skłodowska-Curie ponad sto lat temu.

Głód społeczny to pierwszy z powodów, dla których powinniśmy walczyć o tę nagrodę dla naszych naukowców i uczynić z tego wręcz jeden z celów narodowych. Historia polskich Nobli wspaniale się zaczęła. Skłodowska-Curie, najwybitniejszy naukowiec polskiego pochodzenia i jeden z najwybitniejszych naukowców wszechczasów otrzymała dwa Noble - jeden z chemii, drugi z fizyki. A potem nic. Często podnosi się argument, że Noble otrzymywali tylko naukowcy z najbogatszych krajów, przeważnie Amerykanie. Tylko jak wytłumaczyć historię uczniów Lászlo Rátza? Ten wybitny węgierski nauczyciel gimnazjalny wychował dwóch noblistów i Johna von Neumanna, naukowca, którego co prawda nagroda ominęła, ale bez względu na to był jednym z najwybitniejszych matematyków w historii.

Naukowy Nobel i realna walka o niego **zrewolucjonizowałaby polską naukę** - i to drugi z powodów. W przeciwieństwie do literata, naukowiec nie może działać sam, a w oparciu o silny, sprawny system naukowy. Jak mówi w rozmowie z „Konceptem" politolog Grzegorz Kostrzewa-Zorbas powinniśmy postawić piramidę naukową, na której szczycie znajduje się Nobel. Ale jej podstawą musi być system finansowania i zarządzania nauką pozbawiony marnotrawstwa, wydajny, nienepotyczny i ułatwiający kariery młodym. Czyli taki, jakiego dziś nie mamy.

Kolejnym powodem, dla którego powinniśmy walczyć o naukowego Nobla jest to, że **miałby on kapitalny wpływ na postrzeganie Polski**, przede wszystkim polskiej gospodarki i nauki. A co za tym idzie, byłby zachętą dla inwestorów, grantodawców, naukowców. No i przede wszystkim, dobrze wykorzystany pozwoliłby jednej z polskich uczelni zrobić gigantyczny krok w przyszłość i dał jej szanse na zbliżenie się do światowej czołówki.

Naukowy Nobel dla polskiego fizyka, astrofizyka, chemika, badacza medycyny, czy nagroda noblowska dla ekonomisty stanowiłyby także impuls dla wielu polskich naukowców, by **związać się z polskimi uczelniami** i nie rezygnować z obywatelstwa.

Zaś dla młodych ludzi byłaby to zachęta, by swojej **przyszłości szukać w nauce**. Dzięki temu być może na kolejnego Nobla w nauce nie czekalibyśmy znowu przez ponad wiek.

STR. 3

„DJANGO" TO PRZEREKLAMOWANE KINO KLASY B

Podziwiam ludzi, którzy dopatrują się w dziełach autora „Wściekłych psów" ukrytych sensów i analizują je z takim zacięciem, jakby chodziło o filmowy odpowiednik „Ulissesa". Niedługo minie 20 lat, odkąd Tarantino został okrzyknięty geniuszem kina i apostołem postmodernizmu. Fakt, że w twierdzy snobów, czyli na festiwalu w Cannes „Pulp Fiction" wygrało z „Czerwonym" Kieślowskiego do reszty rozbroił krytykę. O tytułowym bohaterze „Django" można przeczytać w gazetach, że przypomina prezydenta Obamę. STR. 9

JESTEŚMY **SKAZANI NA DOPING**

WITOLD SKRZAT

Doping będzie zawsze, bo niektórzy po prostu lubią chodzić na skróty, łamiąc wszelkie reguły. Ostatnie sukcesy antydopingowej krucjaty odsłaniają prawdziwe oblicze współczesnego sportu. Do niedawna świat zachwycał się np. sukcesami kenijskich biegaczy. Jak na zawołanie wygrywali biegi na dłuższych dystansach: od 800 m po maratony. Mieli być produktem, wybrykiem natury, jako że rekrutowali się zwykle z rejonów doliny Rift w Kenii. Tam, według afrykańskich legend, na płaskowyżu przyszli mistrzowie od małego paśli krowy oddychając rozrzedzonym powietrzem. - Okazuje się jednak, że tam jest nie tylko rozrzedzone powietrze, ale laboratoria, w których kwitł dopingowy proceder. Pomagał fakt, że Kenia leży tysiące kilometrów od siedziby najbliższej komisji antydopingowej. A skoro ryzyko lotnych kontroli było niewielkie, to i rosło w siłę dopingowe zaplecze kenijskiej szkoły biegania – mówi w rozmowie z „Konceptem" jeden z reprezentantów Polski w lekkiej atletyce. A czy sport bez dopingu jest możliwy? O tym w środkowego numeru „Konceptu".

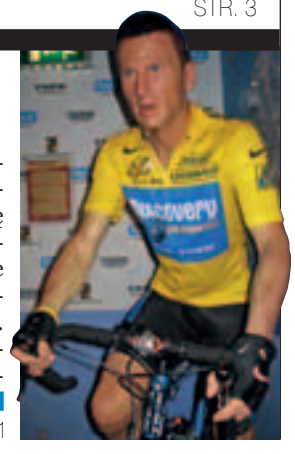

STR. 11

ZNAJDŹ NAS na facebook.com

BYŁO, JEST, BĘDZIE

Języki obce na uczelniach to prowizorka

Za mało godzin, zbyt duże, podzielone przypadkowo grupy i niedoinwestowanie wyjazdów zagranicznych to najczęstsze przyczyny kiepskiej znajomości języków obcych wśród studentów polskich uczelni – wynika z analizy British Council. Według British Council podstawowym mankamentem edukacji językowej na polskich uczelniach jest ograniczona liczba godzin zajęć. Większość uczelni oferuje tylko 120 godzin języka obcego, co daje około 1,5 godziny tygodniowo przez dwa lata. Studenci kończąc uczelnię powinni władać językiem na poziomie B2, co oznacza płynną i spontaniczną komunikację. Osiągnięcie takiego poziomu, przy założeniu, że studenci mają zajęcia tylko raz w tygodniu, jest mało realne. - Bardzo trudno jest doprowadzić studenta do wymaganego przez ministerstwo poziomu B2, dysponując tak krótkim czasem – mówi dr Elżbieta Jendrych z Centrum Języków Obcych Akademii Leona Koźmińskiego w Warszawie.

Najbardziej oblegane uczelnie w Polsce

Główny Urząd Statystyczny podał na których uczelniach studiuje najwięcej osób*. Jeśli Waszej uczelni nie ma w niniejszym zestawieniu, nie martwcie się. Przecież ilość nie znaczy jakość - jesteście po prostu elitarni:-).

1. Uniwersytet Warszawski - 52 101 studentów
2. Uniwersytet Jagielloński w Krakowie - 46 012
3. Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu - 43 197
4. Uniwersytet Łódzki - 42 465
5. Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie - 34 248
6. Politechnika Wrocławska - 33 775
7. Politechnika Warszawska - 33 125
8. Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie - 31 667
9. Uniwersytet Wrocławski - 31 557
10. Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu - 31 167

** Dane dotyczą tylko uczelni publicznych*

Konkurs „Ścieżki Kopernika"

Warsztaty, eksperymenty w laboratoriach, wystawy naukowe, udział w badaniach – te oraz inne zajęcia czekają na Was w ramach konkursu „Ścieżki Kopernika", ogłoszonego przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego. W ramach konkursu powołane zostaną konsorcja, w skład których wchodzić będą jednostki naukowe oraz podmioty działające na rzecz nauki. Młodzi naukowcy będą realizować niekonwencjonalne programy zajęć z wykorzystaniem zaplecza badawczego jednostek naukowych: laboratoriów aparatury naukowej, zbiorów bibliotecznych i eksponatów naukowych. Studenci chcący uczestniczyć w projekcie będą włączeni też do gromadzenia danych, obserwacji badawczych i opracowywania części projektów naukowych. Budżet konkursu to 3,2 mln zł. Sfinansowanych zostanie 16 projektów popularyzujących naukę. Koszt realizacji jednego projektu szacuje się na ok. 200 tys. zł, a czas jego trwania przewidywany jest do końca 2014 roku.

I nie zapomnijcie…

Przy Parlamencie Studentów Rzeczypospolitej Polskiej funkcjonuje instytucja RZECZNIKA PRAW STUDENTA, który interweniuje w przypadkach patologii i łamania praw studentów w uczelniach oraz podejmuje liczne działania prewencyjne zmierzające do zwiększania świadomości w zakresie praw i obowiązków studentów. Porady prawne udzielane są drogą mailową – rps@psrp.org.pl. Biuro Rzecznika Praw Studenta odpowiada (ponoć) w ciągu 5 dni roboczych.

ŹRÓDŁO: www.naukawpolsce.pap.com.pl; www.dlastudenta.pl; www.psrp.org.pl; www.nauka.gov.pl

POLSKI WYNALAZEK ZWIĘKSZY BEZPIECZEŃSTWO W LOTNICTWIE

Dzięki polskim badaczom potanieje koszt używania urządzeń energetycznych i zwiększy się bezpieczeństwo lotów. Naukowcy z Politechniki Warszawskiej opracowali nowatorską metodę diagnostyki procesów spalania.

Jak poinformował serwis naukowy Polskiej Agencji Prasowej, wynalazek ma zwiększyć bezpieczeństwo użytkowania silników lotniczych. Prace prowadzono w Zakładzie Silników Lotniczych Instytutu Techniki Cieplnej Politechniki Warszawskiej. Kierowali nimi prof. dr hab. inż. Piotr Wolański oraz dr inż. Zbigniew Gut. Rozpoczęły się jeszcze w latach 90. ubiegłego wieku.

Jak powiedzieli PAP naukowcy pracujący nad wynalazkiem „diagnostyka procesów spalania jest dziedziną nauki, w której obserwuje się szybki postęp. Jednocześnie międzynarodowe przepisy dotyczące ochrony środowiska naturalnego, zwłaszcza ograniczania emisji substancji toksycznych, są coraz bardziej restrykcyjne. Dlatego od lat prowadzone są na świecie prace nad tworzeniem coraz lepszych metod diagnostycznych, pozwalających na optymalizację procesu spalania. Chodzi tu o m.in. wprowadzanie systemów ograniczających powstawanie związków toksycznych, stosowanie bardzo skutecznych układów katalitycznego oczyszczania spalin, czy wreszcie stosowanie paliw alternatywnych".

Metoda wymyślona przez polskich naukowców określana jest jako Pojemnościowa Tomografia Komputerowa do obrazowania i monitorowania procesów spalania.

Zaletą metody ma być jej kompleksowość w stosunku do dotychczas stosowanych technik - dzięki niej procesy spalania w komorze silnika będą obserwowane na bieżąco, a nie wyrywkowo i punktowo, co istotne jest przede wszystkim w przypadku silników lotniczych. - Pozwoli to na wcześniejszą ingerencję obsługi technicznej, kiedy pojawiają się nieprawidłowości w pracy silnika. W ten sposób, w przypadku silników turbinowych, system znacznie zwiększy bezpieczeństwo lotu – stwierdzają twórcy sytemu.

Zaletami nowego systemu mają być też jego prostota i bardzo niski koszt. Naukowcy liczą na szybkie wdrożenie wynalazku w przemyśle.

Rozwój systemu był możliwy między innymi dzięki Narodowemu Centrum Badań i Rozwoju, które przyznało na jego badania 1 mln złotych w ramach Programu Operacyjnego Innowacyjna Gospodarka.

FOTO Agencja Reporter

Dzięki pracy warszawskich naukowców, latanie stanie się bezpieczniejsze

MY CHCEMY NOBLA!

WIKTOR ŚWIETLIK

Postrzeganie naukowego Nobla w Polsce przypomina nieco perspektywy na zdobycie wysokiego miejsca w mistrzostwach Europy w piłce nożnej albo innym ważnym turnieju. Co pewien czas budzona jest nadzieja, a potem następuje rozczarowanie. Rozgoryczenie mają słodzić „polskie koneksje" amerykańskich noblistów: częściowe nadwiślańskie pochodzenie, polsko brzmiące nazwisko, Polak w zespole badawczym. Co zrobić, żebyśmy wreszcie przestali obchodzić się smakiem, a sięgnąć po danie główne?

Jeśli zapytać najbardziej wpływowych i znanych decydentów na polskich uczelniach dlaczego ostatniego naukowego Nobla, Polak, a raczej Polka, dostała przed ponad wiekiem, z reguły padnie odpowiedź, podobna do odpowiedzi profesora Sergiusza Markowicza z Centrum Onkologii: – Budżet dużych uniwersytetów amerykańskich jest tej skali, co budżet całej nauki polskiej. A nauka wymaga pieniędzy, środków, odpowiedniego wyposażenia. Czy jednak to jedyna przyczyna? „Ameryka, pieniądze, drenaż mózgów" to kilka słów kluczy, które tłumaczyć mają tę wiekową przerwę. Ale czasem nawet ci sami, którzy podnoszą te argumenty chwilę później sami przyznają, że fakt, iż Nobla do tej pory nie dostaliśmy odzwierciedla stan polskiej nauki, a także rozważają co trzeba zrobić, by wreszcie tego Nobla mieć. Przed dwoma laty Barbara Kudrycka, minister nauki i szkolnictwa wyższego zapowiadała, że wdrażane przez nią zmiany doprowadzą nas do upragnionej nagrody. Jednak w odczuciu akademików zmiany te nie nadchodzą, ba, wielu uważa, że jest coraz gorzej.

JEDNA TAKA NAGRODA

Są też tacy, którzy po prostu nagrodę tę dezawuują, uważają za nieważną. Ostatecznie wpadek komitetu noblowskiego, zarówno przy przyznawaniu nagród pokojowych i literackich, jak i naukowych, nie brakowało. Wystarczy przypomnieć dwie niedawne, mdłe i nader puste pokojowe nagrody, dla Baracka Obamy i Unii Europejskiej. Także literacka nagroda Nobla razi od lat swoją polityczną poprawnością. W przypadku Nobli naukowych ich wielką słabością jest to, że nie otrzymują ich niektórzy wybitni naukowcy. W ten sposób pominięto Henriego Poincare'a, jednego z najwybitniejszych naukowców początku XX wieku. Albert Einstein dostał Nagrodę Nobla, ale nie za swoje najwybitniejsze osiągnięcie, czyli teorię względności. W dziedzinie medycyny i fizjologii Ralph Steinman otrzymał nagrodę, wbrew regulaminowi, pośmiertnie. Kolejną słabością Nobla jest to, że nie odzwierciedla on wielu istotnych dziedzin. Przede wszystkim - matematyki i biologii, bardzo istotnych już w okresie fundowania nagrody. Z tą pierwszą wiązała się nieprawdziwa, ale dość powszechna legenda, jakoby Alfred Nobel nie chciał przyznawać nagrody matematykom ze względu na romans jego żony ze słynnym naukowcem Gösta Mittag-Lefflerem (historia ma tylko jeden słaby punkt - Nobel nie miał żony). Ale brakuje noblowskiej kategorii także w dziedzinach, które rozwinęły się później, związanych z naukami społecznymi, psychologią, weterynarią, no i przede wszystkim - informatyką. Ostatnio coraz częściej pada jeszcze jeden argument - by przestać Nobla fetyszyzować. Dla wielu środowisk naukowych istotniejsze są choćby nagroda Abla (Abel Prize, matematyka), Crafoorda (biologia, biochemia, astronomia), Medal Fieldsa (matematyka) czy Kyoto (zawiera także filozofię i humanistykę).

- Zastrzeżeń jest wiele, ale z drugiej strony, we wszystkich rankingach jakości akademickiej, posiadanie noblistów jest jednym z najważniejszych parametrów, tak więc nie sposób od tego uciec - mówi dr Dominik Smyrgała, zastępca dyrektora Instytutu Studiów Politycznych PAN.

CZY MAMY SZANSĘ?

Bo tylko Nobel tak pobudza wyobraźnię. Tylko Nobel ma taką moc symboliczną. Tylko on ma siłę, która spowodowałaby modę na polską naukę, a rządzących zmusiła do troski o nią. Czy dziś mamy szanse? - W polskiej nauce mamy dziedziny, które liczą się w światowych rankingach, zwłaszcza astrofizyka, które dają nadzieję na uzyskanie Nobla. Mamy też kilka, w których jesteśmy mocni, ale nie są uwzględniane: weterynaria, matematyka z informatyką - mówi dr Smyrgała. Co trzeba zrobić, żeby liczyć się w tych statystykach? Przede wszystkim zatrzymać drenaż mózgów z Polski i wyjazdy młodych naukowców, płacąc im godziwe pieniądze i dając szanse awansu. Tylko sześcioro Polaków dostało w ogóle Nobla (w tym jedna osoba naukowego), ale osób polskiego pochodzenia (lub z innym obywatelstwem w momencie przyznania nagrody) było wśród laureatów 18. Można dostrzec jeszcze jedno podobieństwo między naukowym Noblem, a piłką nożną. Polscy studenci, szczególnie młodzi informatycy, często wygrywają w międzynarodowych konkursach. A więc potencjał mamy. Ale brak Nobla przez sto lat świadczy, że póki co, koncertowo go niweczymy.

Tylko Nobel tak pobudza wyobraźnię. Tylko Nobel ma taką moc symboliczną. Tylko on ma siłę, która spowodowałaby modę na polską naukę, a rządzących zmusiła do troski o nią

KRZYSZTOF PRZYBYŁ, prezes fundacji „Teraz Polska":

CO DAŁBY NAM NOBEL NAUKOWY

Jest rok 2018. Informacje o sukcesie Polski pojawiły się już chyba we wszystkich najbardziej opiniotwórczych mediach świata - od The New York Times'a po Al Jazeerę. Ekwiwalent medialny tych pozytywnych doniesień o naszym kraju przekroczył już dawno 500 mln USD. Rozmowy o współpracy podjęły ze stroną polską wszystkie liczące się instytut badawcze. Rząd USA przeznaczył z rezerwy dodatkowe środki na strategiczną inwestycję na terenie Polski. O tej decyzji poinformował polskiego premiera prezydent USA w prywatnej rozmowie telefonicznej. O podobnej inwestycji myśli także duży koncern z Chin. To polski zespół naukowców otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie nauk ścisłych.

Co by zmienił Nobel w postrzeganiu Polski? Poza chwilowym zainteresowaniem światowych mediów pewnie bezpośrednio na dany moment niewiele więcej. Na pewno byłby kolejną zauważalną cegiełką pod fundamenty silnej i rozpoznawalnej marki - Polska. W 2012 roku, dzięki Euro, udowodniliśmy, że jesteśmy krajem otwartym, nowoczesnym i cywilizowanym (jakkolwiek kolokwialnie by to nie brzmiało). W roku 2016 będzie okazja, poprzez działania Wrocławia jako Europejskiej Stolicy Kultury, pokazać się światu z jeszcze innej strony. Nobel dla Polski z kolei wypełniłby chyba najmniej wyraźny obecnie obszar w postrzeganiu naszego kraju - związany z innowacyjnością, wysoką technologią i specjalistyczną wiedzą.

Choć zdecydowanie ważniejsze od samego faktu otrzymania takiej nagrody, byłoby wykorzystanie tej szansy w kolejnych latach, zarówno bezpośrednio w obszarze nauki i gospodarki (kolejne innowacje, specjalizacja, komercjalizacja, przemysł itd.), jak i w obszarze propagandowym i medialnym.

Literat może sam pisać wybitne dzieła, ale naukowiec musi działać w oparciu o skutecznie działający system. Jeśli nie odmłodzimy nauki i nie zaczniemy jej lepiej finansować, Noble - co najwyżej - będą otrzymywać zagraniczni naukowcy, na k tórych Polacy pracowali.

MUSIMY ZBUDOWAĆ **WIELKĄ PIRAMIDĘ**

WIKTOR ŚWIETLIK: Czterech Polaków dostało nagrody literackie Nobla, jeden pokojową, i tylko jeden, a raczej jedna Polka, naukową. Była to Maria Skłodowska-Curie, i było to ponad sto lat temu. Może po prostu z nauką, a przynajmniej z tymi kierunkami, które premiowane są przez komitet noblowski, jest jak z piłką nożną - jedne nacje mają do niej lepsze predyspozycje, a inne gorsze?

GRZEGORZ KOSTRZEWA-ZORBAS: - Oczywiście, że tak nie jest. Małe sprostowanie. Skłodowska-Curie dostała dwie nagrody Nobla, jedną z fizyki, drugą z chemii.

Pierwsza była nagrodą grupową, dla trójki naukowców...

- Ale w żadnym stopniu nie umniejsza to wyjątkowości Skłodowskiej-Curie. Liczne nagrody są dzielone, natomiast przypadek Skłodowskiej jest wyjątkowy. Została wyróżniona szczególnie, w dwóch różnych kategoriach nauk ścisłych, jest wyjątkową noblistką.

Ale z kolei na naszą niekorzyść świadczy fakt, że była wychowanką Sorbony i pracownikiem francuskich instytutów naukowych...

- To prawda. Została wyróżniona za działalność naukową prowadzoną całkowicie we Francji, a nie w Polsce.

A potem przez sto lat nic. Lubimy porównywać się do Węgrów. Oni mieli chociażby słynnego Lászlo Rátza, wychowawcę trzech wybitnych naukowców - dwóch z nich to nobliści, współtwórcy projektu Manhattan oraz teorii gier. U nas przez wiek posucha. Trudno to chyba wytłumaczyć tym, że - jak zawsze - nas krzywdzą?

- Faktycznie od czasu drugiego Nobla Marii Skłodowskiej-Curie, czyli od 102 lat, żaden mieszkaniec Polski, ani pracownik polskiego instytutu naukowego nie otrzymał nagrody Nobla.

Było za to kilka Nobli literackich i jeden pokojowy. Dlaczego w literaturze i pokoju możemy, a w nauce nie?

- Do zdobycia literackiej i pokojowej nagrody Nobla niepotrzebne jest spełnienie wielu warunków. W szczególności posiadanie silnych instytucji, silnego środowiska. Literaci mogą działać jako samotnicy. Nagrody pokojowe dawane są politykom, którzy odgrywają w jakimś momencie ważną rolę na świecie.

I to znowu potwierdza moją tezę. Nauka wymaga organizacji, a my jesteśmy narodem indywidualistów. Nie powinniśmy się poddać?

- Ta sytuacja jest możliwa do naprawienia, tylko trzeba spełnić kilka warunków. Po pierwsze potrzebna jest potężna piramida naukowa.

Co ma być na jej wierzchołku?

- Naukowe nagrody Nobla. By jednak mogła ona sięgać tak wysoko, potrzebna jest bardzo szeroka podstawa. Noble są zdobywane przez ludzi, którzy wspięli się na szczyt piramidy.

Każdy profesor był kiedyś doktorem, a jeszcze wcześniej studentem. Polski system musi przestać premiować naukowców za wiek, staż i tytuł, a doceniać pracę, talent, innowacyjność, bez względu na rangę

Czyli mówimy o całym systemie naukowym. Jak zmierzyć podstawę piramidy? Są rozmaite indeksy nowoczesności, innowacyjności, cytowań, każdy mówi co innego.

- Indeksy każdy układa inaczej, czasem pod siebie albo uwzględniając takie warunki, by zwiększyć własną, własnego państwa lub uczelni pozycję. Poza tym, rzeczywiście uwzględniają one z reguły jakiś wycinek, więc trudno uznać je za w pełni miarodajne. Lepszą miarą jest informacja, jaki procent produktu krajowego brutto danego kraju jest przeznaczany na badania i rozwój.

Zdaje się, że w tej dyscyplinie jest jeszcze gorzej niż we wspomnianej piłce nożnej.

- Podkreślam, że chodzi o badania i rozwój. Nie o tę liczbę, która określa pieniądze kierowane z budżetu na szkolnictwo wyższe. Chodzi o kwotę, jaką przeznaczamy na badania, a także na przenoszenie odkryć, wynalazków i efektów pracy naukowców do gospodarki. Nie chodzi też tylko o działalność władz publicznych. Chodzi także o przedsiębiorstwa, prywatne firmy, uczelnie i instytuty, także prywatne, a także trzeci sektor - fundacje, stowarzyszenia.

No i ile naszego PKB przeznaczamy my wszyscy na badania, a także wdrażanie tych badań, czyli unowocześnianie naszego kraju?

- Przeznaczamy 0,77 proc.

A inni?

- Średnia dla całej Unii Europejskiej, łącznie z Bułgarią, Rumunią i tak dalej, to 2,3 procent.

Ponad trzy razy więcej...

- Najlepiej rozwinięte kraje, z Niemcami i USA na czele, mają od około 3 do 4 procent, czyli mniej więcej pięć razy więcej niż Polska. Nie dość tego, Polskę przegoniły wschodzące potęgi. Ten procent dużo wyższy niż w Polsce jest choćby w Chinach, a trochę wyższy w Indiach i Brazylii.

To na razie mamy raczej piramidkę. By była wyższa i sięgnęła kiedyś Nobla, trzeba zwiększyć podstawę. By zwiększyć podstawę, trzeba pieniędzy. I niech zgadnę, pieniądze mają być głównie z budżetu?

- Nie tylko, choć pieniądze publiczne są bardzo istotne. Nie chodzi tylko o budżet centralny, ale i samorządy. O odpowiednią politykę gospodarczą, o system ulg podatkowych, rozmaitych zachęt do inwestowania w badania. Powinniśmy zwiększyć ten procent przynajmniej do europejskiej średniej. Bez tego nie ruszymy. Powinniśmy też podnieść pozycję społeczną naukowca.

Profesorowie cieszą się w Polsce sporą estymą...

- Tak, ale istnieje pewna sprzeczność między uwielbieniem dla profesorów, a brakiem uznania dla młodych naukowców. Nie wiadomo więc, skąd się mają brać kolejni czczeni i obstawiani przez kamery profesorowie, jeżeli młodzi doktorzy są fatalnie traktowani. Źle zarabiają, są uważani za nieprzynoszących pożytku.

Profesorowie też kiedyś byli doktorami...

- Ale dziś czczeni są nie ze względu na wartość, jaką wytwarzają, a ze względu na kulturowe przyzwyczajenie sięgające czasów komunistycznych, kiedy mogli więcej, i łatwiej mogli stawać się niezależnymi autorytetami niż ludzie działający w innych dziedzinach.

Postuluje pan, by degradować profesurę?

- Broń Boże! Ale doceniać ją nie za siwe włosy i dostojne spojrzenie, a za rzeczywiste osiągnięcia, podobnie jak młodą kadrę naukową. Każdy profesor był kiedyś doktorem, a jeszcze wcześniej studentem. Polski system musi przestać premiować naukowców za wiek, staż i tytuł, a doceniać pracę, talent, innowacyjność, bez względu na rangę. Nie da się ukryć, że trzeba też podnieść zarobki...

Dziś podstawa zarobków naukowca to śmieszne kwoty, ale rekompensować je ma system grantowy, środki kierowane na poszczególne badania i projekty. Taki model ma pobudzać do pracy, zwiększać innowacyjność.

- A często sprowadza się do ganiania z wnioskami. O każdy z grantów ubiega się masa osób, a przyznawanie funduszy często jest efektem trafu. Zamiast skupiać się na badaniach, naukowcy zamieniają się w fundraiserów. Niskie zarobki naukowców są skutkiem PRL i marksizmu-leninizmu. Według jego doktryny, nauka to była nadbudowa do ważniejszej bazy, czyli produkcji. Historia naszej części świata uczy, że komunizm, czy realny socjalizm miały ogromny problem z zaakceptowaniem faktu, że jeśli produkcja nie jest wspierana przez badania naukowe, wtedy staje się nieefektywna, droga, przestarzała, niekonkurencyjna.

Ja widzę to inaczej. Komunizm kładł większy nacisk na rozwój naukowy niż robi się to obecnie, tyle, że po pierwsze sam ten ustrój był tak skonstruowany, że był nieefektywny. Po drugie, skupiał się na tym, co dla niego było ważne, czyli przede wszystkim na technologiach wojskowych mających wspierać przyszły militarny podbój.

- To były wyjątki. Rzeczywiście kierowano duże środki na technologie wojskowe, a także na sprawy ideologiczne związane z ekonomią marksistowską, marksizmem-leninizmem i tak dalej. I naukowcy tym się zajmujący, mieli się jak pączki w maśle. Ale pozostałe dziedziny nauki leżały. Leżą nadal, a efektem jest ucieczka młodych naukowców z Polski. Ci zdolniejsi są z otwartymi ramionami przyjmowani za granicą. Kiedyś głównym kierunkiem były USA, potem kraje Zachodu. Bardzo charakterystyczne, że masowy jest choćby drenaż mózgów ze strony Szwecji - kraju o bardzo szerokiej podstawie piramidy naukowej. Szwedzi na badania i rozwój poświęcają aż 3,5 procenta PKB. Wkrótce polscy naukowcy będą ciągnąć do wschodzących potęg.

Już teraz chińscy „łowcy głów" zaczynają prowadzić werbunek i rozpoznawać polski rynek naukowy i biznesowy.

- To się nasili. Niedługo coraz więcej polskich naukowców będzie wyjeżdżać do Chin, ale także do Indii.

Czasem pod adresem tych „jajogłowych" emigrantów kierowany jest zarzut swoistej zdrady polskiej nauki. Jak się żyje tym naukowcom, którzy wyjeżdżają?

- Wcale nie tak cudownie. Duża część z nich wolałaby pracować, żyć, przeprowadzać badania w Polsce, ale tu nie stworzono im po prostu do tego warunków. Muszą się adoptować, część ma problemy z językiem, bo przecież często do znajomości angielskiego musi dojść znajomość lokalnego języka po to, by komfortowo funkcjonować. Część latami walczy o obywatelstwo. W wielu krajach są traktowani jako „obcy", konkurenci dla lokalnych badaczy. Często lądują na drugorzędnych stanowiskach poniżej kwalifikacji. Bardzo wielu Polaków-naukowców, którzy wyjechali, nie może dostatecznie się rozwinąć, bo muszą pracować na kogoś „stamtąd", w jego zespole, pod jego kierownictwem. I to tamci mają szanse na Noble. To ciemna strona emigracji naukowej.

Czasem ta emigracja bądź czasowa emigracja bywa wręcz wymuszana. Moja znajoma, bardzo zdolny młody naukowiec, w docenieniu zasług i talentu, dostała ofertę na swoim instytucie wyjazdu na stypendium do USA. Z przyczyn rodzinnych nie mogła. Zwolniono ją w związku z tym. Już ma dobrą propozycję w międzynarodowej korporacji, dla której może pracować z Warszawy. Na jej rzecz polska nauka straciła zdolnego naukowca.

- Problemem polskich instytutów i uczelni faktycznie jest to, że młodzi naukowcy często są siłą rzeczy blokowani. Trzeba powierzyć kierowanie polską nauką ludziom młodym. Tym, którzy pokazują dobre wyniki, pracowitość, talent. Wśród nich powinno być sporo osób z doświadczeniem zagranicznym. Postulat ten ma tę zaletę, że nie jest związany z dodatkowymi kosztami finansowymi. Co drugi rektor w Polsce, co drugi dyrektor, powinien być wybitnym, choć młodym polskim naukowcem z doświadczeniem zagranicznym. Człowiek, który pracował na Harvardzie zna tę uczelnię, będzie wiedział jak z nią konkurować. I jak doprowadzić do tego, byśmy wreszcie zdobyli naukowego Nobla.

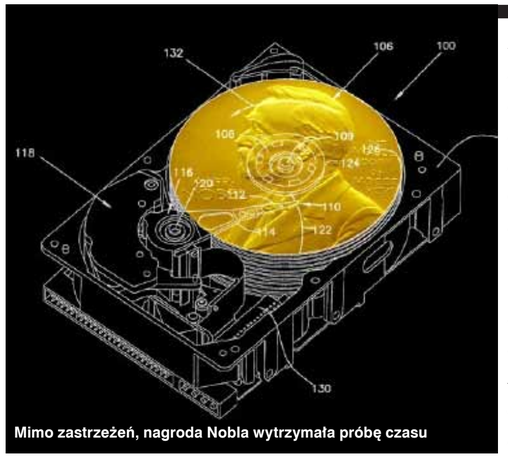

Mimo zastrzeżeń, nagroda Nobla wytrzymała próbę czasu

Bardzo wielu Polaków, naukowców, którzy wyjechali, nie może dostatecznie się rozwinąć, bo muszą pracować na kogoś „stamtąd", w jego zespole, pod jego kierownictwem. I to tamci mają szanse na Noble. To ciemna strona emigracji naukowej

DR GRZEGORZ KOSTRZEWA - ZORBAS

politolog, polityk, analityk stosunków międzynarodowych i były dyplomata. Absolwent uniwersytetu w Georgetown, doktorat obronił na Uniwersytecie im. Johna Hopkinsa w Waszyngtonie. Uczeń Zbigniewa Brzezińskiego. Obecnie wykładowca uczelni Vistula i publicysta tygodnika „W Sieci".

FOTO H. Michael Karshis'

FOTO Agencja Reporter

ZADY I WALETY AMERYKI

JAROSŁAW HEINZE

Czy afery Enronu, Lehman Brothers, a i dopingowa afera związana z Lancem Armstrongiem świadczą o słabości Ameryki? Wręcz przeciwnie.

Ależ ta Ameryka głupia. I szkodliwa. Żeby głupia i szkodliwa była tylko dla siebie i u siebie. Gdzie tam, oni wszystko muszą mieć największe i najgrubsze – na przykład afery. Latają najczęściej ze wszystkich w kosmos, to nie mogą ich wysyłać i zostawiać w okolicach Marsa, czy chociażby Wielkiej Niedźwiedzicy?! Nie. Oni muszą te zarazy i wyhodowane przez siebie plagi, utuczone niczym whopper, rozsiewać po całym świecie. Weźmy na warsztat chronologicznie ułożone afery z ostatnich lat, a sami zobaczycie, że włos się jeży na głowie, nawet jeża.

ENRON ZBYT INNOWACYJNY

2001. Upadek teksańskiego koncernu energetycznego Enron był jak porażenie prądem o sile wyższej niż 220 wolt. Świat zawdzięcza tej firmie jakże rozpowszechnione dziś pojęcie „kreatywnej księgowości". Nikomu do głowy nie przyszło (a im przyszło), że można tak bezczelnie fałszować sprawozdania finansowe, a tym samym manipulować kursem akcji i wodzić za nos instytucje nadzorujące rynek. Ta hochsztaplerka kosztowała amerykańskich podatników ok. 1 mld dolarów, światowe giełdy na kilka miesięcy opanował sztorm, a wszelkiej maści księgowi od Houston po Sankt Petersburg stali się ulubionymi klientami aptek, psychoanalityków i kardiologów. Ciekawe, że tuż przed upadkiem Enron 6 razy z rzędu triumfował w rankingu najbardziej innowacyjnych firm USA magazynu „Fortune" (jeśli chodziło o księgowość to fakt - nie pomylili się). W 2002 r. w zestawieniu tym zwyciężył WorldCom, by kilka miesięcy potem ogłosić upadłość (kilka mld USD kreatywnej, a jakże, księgowości), a w 2007 „Fortune" nagrodził bank Lehman Brothers, od upadku którego pół roku później rozpoczął się światowy kryzys gospodarczy. Pamiętajcie, jeśli w przyszłości „Fortune" przyzna waszej firmie tytuł „najbardziej innowacyjnej firmy" to będzie wyrok, a nie nagroda. I sygnał, że powinniście właśnie zacząć zwijać biznesowe manatki.

W 2007 „Fortune" nagrodził bank Lehman Brothers, od upadku którego pół roku później rozpoczął się światowy kryzys gospodarczy. Pamiętajcie, jeśli w przyszłości „Fortune" przyzna waszej firmie tytuł „najbardziej innowacyjnej firmy" to będzie wyrok, a nie nagroda. I sygnał, że powinniście właśnie zacząć zwijać biznesowe manatki

NIEMIECCY EMIGRANCI PRZEGRALI Z NINJA

2008. Amerykański bank Lehman Brothers, mający za sobą 158 lat tradycji, stał się wizytówką światowego kryzysu gospodarczego i kwintesencją zachłanności niektórych przedstawicieli rynków finansowych. Trzej niemieccy emigranci, czyli bracia Lehman, zaczynający karierę w USA od handlu bawełną, zapewne nie przypuszczali, że ich następcy polegną w walce z „ninja". Nie, nie chodzi o japońskich wojowników, tylko nazwane tak osoby, które na początku XXI w. dostawały od ręki kredyty hipoteczne (no income, no job, no assetts). W 2007 roku, niemal co drugi amerykański kredytobiorca hipoteczny należał do kategorii „ninja". Doszła do tego skomplikowana inżynieria finansowa, której ni w ząb nie rozumieli, namówieni do udziału w niej, szarzy ludzie i rypło. Tak rypło, że cały świat (a zwłaszcza Europa) odczuwa to do dzisiaj i żaden antybiotyk nie pomaga.

A KRÓLEM DOPINGU TO KTO JEST?

2012. Tym wykrytym i udowodnionym? Jasne, że Amerykanin. Konkretnie – Lance Armstrong, zawodowy kolarz. Okrzyknięty swego czasu cudownych dzieckiem dwóch pedałów (ups... przepraszam, dwóch kółek), triumfator kilku z rzędu Tour de France, mistrz świata. Okazało się jednak, że tak jak nie rozstawał się z rowerem, tak też nie rozstawał się ze środkami dopingowymi. Zawsze pod ręką miał a to jakiś fajny zastrzyk, a to świeżutką krew do przetoczenia. Jakby tego było mało, jego kumple z zespołu (przy pomocy jakże subtelnych sugestii ze strony Lance'a) też musieli brać dopalacze, by nadążać za mistrzem i wspierać go w zdobywaniu kolejnych trofeów. Dlaczego w ogóle wspominam o tym przypadku w dziale gospodarczym, wyjaśni się w dalszej części tekstu, jeśli dotrwacie.

MACIE PRALKĘ, TO WIECIE O CZYM MÓWA

2013. I jakby tego wszystkiego było mało, ostatnio gruchnęła wieść o tym, że amerykański system bankowy był największą pralnią pieniędzy w nowożytnej historii świata. Szalał bank HSBC. W latach 2007-2008 miał przepuścić przez swoje amerykańskie konta 15 mld dolarów pochodzących z handlu narkotykami oraz innych ciemnych interesów grup przestępczych, wywodzących się głównie z Meksyku i Rosji. Mało tego, HSBC dokonał ponad 25 tysięcy podejrzanych transakcji z instytucjonalnymi klientami z Iranu i Syrii, czyli krajów, które objęte są ścisłymi sankcjami gospodarczymi ze strony USA.

Tak, Stany Zjednoczone to zakała świata.

A TERAZ WŁĄCZCIE MYŚLENIE

Prrrrrrr, moment. Koniec łopatologii. Te wszystkie opisane sprawy mają bowiem swoje drugie dno. Ktoś je ujawnił, rozpracował i miały one swoje skutki. W przypadku Enronu, prezes tej firmy został po 4 latach procesu skazany na ponad 20 lat więzienia i musiał zapłacić 45 mln dolarów kary. Drugi z głównych winowajców uniknął krat na ponad 100 lat (patrz: amerykański kodeks karny) tylko dlatego, że tuż przed ogłoszeniem wyroku zmarł. Świat zrozumiał, że kreatywna księgowość to nie tylko problem Ameryki, ale również innych korporacji – w ciągu kilku następnych lat o uwikłanie w ten proceder oskarżonych zostało 900 osób, w tym 60-ciu prezesów firm, a skazano 500 osób.

Przeciwko globalnym aferzystom protestowano i w Europie, i w USA. Ale skutecznie sądzono ich tylko za Oceanem

FOTO Agencja Reporter

Bez dyskusji, światowy kryzys gospodarczy ma swoje korzenie za oceanem. Ale Amerykanie potrafili pozamiatać po Lehman Brothers w ciągu roku - nie mówimy o piekarni osiedlowej, tylko instytucji finansowej zarządzającej blisko 300 mld dolarów. LB nie okazał się „za duży, by upaść", a same Stany od 2008 roku notują średnio 2 procentowy wzrost PKB rocznie (Europa krzyczy „wow"), bezrobocie trzymają w ryzach, bo na poziomie 8 proc. W ubiegłym roku amerykańskie firmy poza krajem straciły 48 mld dolarów, ale w kraju zarobiły 42 miliardy. Sprawdza się zatem powiedzenie, że jak USA „tylko kicha, to Europa łapie przeziębienie".

Lance Armstrong od 2001 roku zaprzeczał, że ma cokolwiek wspólnego z dopingiem. Próbowali go ugryźć Francuzi, Włosi, a nawet Chińczycy. Wiecie kiedy się poddał? W sierpniu 2012 roku, kiedy to Amerykańska Agencja Antydopingowa wydała ponad 1000-stronicowy, raport na jego temat. Po zeznaniach kolegów Armstronga, agencja nie wahała się nazwać go „seryjnym oszustem", dopingowiczem i wystąpić (skutecznie) z wnioskiem o dożywotnią dyskwalifikację Armstronga do międzynarodowych władz kolarskich. Armstrong po przeczytaniu tego druzgocącego dokumentu oświadczył, że nie zamierza się odwoływać, mimo że odebrano mu wszystko, co w sportowej karierze osiągnął. Podobnie było z HSBC – amerykański Senat przygotował taki raport o przestępstwach banku, że Irene Dorner (szefowa HSBC w Stanach), zeznając przed komisją senacką mogła się tylko łajać: „Przeprosimy, przyznamy się do błędów, odpowiemy za nasze działania i zaoferujemy nasze pełne zdeterminowanie do naprawienia tego, co było złe". W konsekwencji, HSBC ma zapłacić prawie 2 mld dolarów kary za łamanie amerykańskiego prawa i tak samo jak Armstrong, nie zamierza się odwoływać od tej decyzji.

Sprawy dotyczące przestępstw finansowych i niedozwolonego dopingu należą do najtrudniejszych do rozwikłania przez współczesne państwa. Do tego potrzebna jest wiedza, sprawność i determinacja. Może zatem jest jednak tak, że opisane powyżej wydarzenia świadczą nie o słabości, a sile Ameryki?

NIEBIESKO

Zagraniczne firmy polubiły Polskę

25000

zagranicznych firm działa w Polsce

8%

więcej niż w 2010 r.

Źródło: Główny Urząd Statystyczny

CZARNO

Kiepskie prognozy dla Polski

1,5%

tyle wynoszą prognozy wzrostu PKB w 2013 r. dla Polski według Banku Światowego

3%

a tyle wynosiły zdaniem BŚ jeszcze w połowie 2012 r.

Źródło: Rzeczpospolita

BOEING KONTRA AIRBUS

Ernst i Willy nigdy za sobą nie przepadali. A kiedy w latach 30. i 40. ubiegłego wieku kierowali swoimi fabrykami, ich rywalizacja napędzana już była wzajemną nienawiścią. Ernst Heinkel i Willy Messerschmitt byli utalentowanymi niemieckimi konstruktorami lotniczymi. Ich nazwiska stały się symbolami śmiercionośnych maszyn w służbie III Rzeszy. Ernst specjalizował się w produkcji bombowców, Willy – myśliwców. Na początku II wojny światowej Heinkel popełnił jeden błąd – chciał wejść w działkę Messerschmitta i zaczął produkować myśliwce. Lepiej ustosunkowany w środowisku nazistowskich decydentów Willy Messerschmitt sprawił, że trzy prototypy Heinkla nie znalazły uznania w Ministerstwie Lotnictwa Rzeszy i nigdy nie trafiły do masowej produkcji.

Przykładając oczywiście stosowne proporcje – Boeing i Airbus też za sobą nie przepadają. Nic w tym dziwnego, to dwa koncerny, które konkurując, niepodzielnie rządzą światowym rynkiem produkcji samolotów pasażerskich. Papryczki chili ich rywalizacji dodaje fakt, że to symboliczny wyścig nowoczesności między Ameryką (Boeing) a Europą (Airbus). Jest jednak kilka wspólnych elementów między tymi gigantami przestworzy. Primo – oba mają ostatnio spore problemy. Dreamlinery Boeinga zostały uziemione zaraz po wejściu na rynek. Nie latają żadne z floty USA, Japonii, Indii, Chile i państw UE (w tym dwa LOT-owskie). Airbusowskie A380 też zaliczyły kilka wtop z silnikami, a premiera europejskiej odpowiedzi na Dreamlinera, czyli A350 już dwukrotnie była przekładana. Secundo – zarówno Boeing, jak i Airbus są de facto koncernami państwowymi. Amerykański Boeing jest kontrolowany przez waszyngtońską administrację, a Airbus – przez rządy trzech państw europejskich (Niemcy, Francja i Wlk. Brytania). Tertio – to w dużej mierze fabryki zbrojeniowe. Boeing to producent myśliwców, transportowców, powietrznych tankowców i satelitów wojskowych. Z kolei o Airbusie dużo mówi już sama nazwa jego głównego udziałowca EADS (European Aeronautic Defence and Space Company). Airbus ma też swoją odnogę w postaci Airbus Military (transportowce i tankowce powietrzne).

Może zatem jest tak, że największy potencjał obu koncernów skupia się w militarnych fabrykach, zatrudniających właśnie tam, a nie w „pasażerce" najlepszych fachowców? I stąd nie mają wystarczających sił i czasu na pracę dla cywili? Trochę tak, jak w czasach komunistycznych było w przypadku radomskich zakładów Łucznik. Przeciętny Polak znał łucznikowskie maszyny do szycia i pisania (tak, tak, były takie maszyny). Ale miał blade pojęcie o tym, że w Radomiu produkuje się miliony sztuk broni dla wojsk Układu Warszawskiego oraz arabskich i afrykańskich satrapów.

JH

POWSTANIE STYCZNIOWE
W SZPONACH IGNORANTÓW

PIOTR GURSZTYN

Spór o ocenę powstania styczniowego to mieszanka debaty o wybór metod w polityce i ujawniających się traum narodu mocno zranionego przez dzieje. Wszystko podlane największym grzechem wobec nauk muzy Clio, czyli prezentyzmem.

Kadr z filmu „Wierna Rzeka". Powstanie styczniowe pobudza polską wyobraźnię i kulturę, ale i rodzi niesprawiedliwe sądy

Na początek anegdota. Na Wydziale Historii UW, gdzieś ze dwadzieścia lat temu i wcześniej, zbierała się grupa profesorów i debatowała, co można było zrobić w 1939 r., aby uniknąć katastrofy wrześniowej. Obserwatorzy podśmiewali się z ich debat, nazywając ich „klubem wygrywaczy kampanii wrześniowej". Byli to profesorowie różnych specjalności - od historii starożytnej po najnowszą. Był jednak jeden łącznik: wszyscy, lub większość z nich, pamiętali wrzesień 1939 r. Czasem jako dzieci, czasem jako dorośli. Dla wszystkich była to trauma, którą musieli przedyskutować.

Zresztą nie tylko starzy profesorowie rozważali warianty alternatywne. Autor tego tekstu spotkał raz fanatycznie przywiązanego do swojej wizji miłośnika historii, który upierał się, że był patent na militarne zwycięstwo. Bo skoro Wojsko Polskie miało 600 tankietek i 1200 działek Boforsa to trzeba było połowę z nich zamontować na owych tankietkach. Wtedy owe tankietki, jako pojazdy małe i zwrotne, znienacka podjeżdżałyby do niemieckich czołgów i je rozwalały.

Groteska i absurd? Z pewnością tak. Często słyszymy w przypadku oceny zdarzeń przeszłych, szczególnie narodowych klęsk, zdania nacechowane pychą wobec decyzji naszych przodków i prezentyzmem, czyli przykładaniem całkowicie anachronicznych miar. Do końca jednak nie można ganić owych rozważań.

TCHÓRZOSTWO GORSZE NIZ NADGORLIWOŚĆ

Trauma wielkich klęsk jest usprawiedliwieniem dla ludzi zastanawiających się nad tym, czy był możliwy inny bieg wypadków. Jest w tym też myśl o tym, która polityka jest bardziej skuteczna - aktywistyczna, dążąca do czynu i gwałtownych szybkich rozwiązań, czy też polityka ugody, drobnych kroków, stopniowego dążenia do celu.

Tak wyglądała debata nad powstaniem styczniowym w II RP. Wtedy było to zupełnie zrozumiałe, bo dwie główne strony sporu tuż przed odzyskaniem niepodległości prowadziły dwie różne polityki. Admirator czynu powstańczego Józef Piłsudski dążył do zaostrzenia walki z caratem już w czasie rewolucji 1905 r., a potem próbował wywołać insurekcję w sierpniu 1914 r. Endecy zwalczali PPS-owskie bojówki w 1905 r., a potem woleli paktować, wpierw z Rosją, a potem z wielkimi mocarstwami. Obie drogi oznaczały w sumie jednakowe ryzyko, bo Piłsudskiemu nie udało się wywołać insurekcji, a w końcu wszedł w konflikt z mocarstwami centralnymi. Zaś endecy prowadząc politykę ugodową włazili od czasu do czasu w bagno lojalizmu, czy wręcz zdrady, tak jak wtedy, gdy w rosyjskiej Dumie Państwowej zagłosowali za odłączeniem Chełmszczyzny od Kongresówki.

Tu zresztą, kiedy oceniamy czyjąś skuteczność, warto zawsze pamiętać, że żadna z tych dwóch metod nie jest tą złotą, która w każdym przypadku zagwarantuje skuteczność. Aktywizm może prowadzić do niepotrzebnych strat i zniszczenia tego, co funkcjonowało wcześniej. Polityka ugody i małych kroczków może zakończyć się równie strasznym grzechem zaniechania i nieskorzystania z dobrych okazji. Skądinąd dzieje innego zrywu - powstania listopadowego - to udowadniają. Walczyła wtedy regularna armia polska, wsparta solidnym zapleczem gospodarczym. Żaden historyk nie kwestionuje tego, że kunktatorstwo polskiego dowództwa zaprzepaściło możliwość zadania bolesnych strat wojskom rosyjskim.

Dyskusja o powstaniu styczniowym także w PRL miała swój praktyczny wymiar. Wpisywała się w spór między tymi, którzy nie chcieli siedzieć z założonymi rękami, a tymi, co uważali, że nie wolno kopać się z koniem zwanym Jałtą. Tylko trzeba chronić to, co zostało; ewentualnie prowadzić działania „pozytywistyczne". I jeśli w sporze między piłsudczykami a endekami racje były podzielone, to w przypadku oceny tej postawy mamy już jasną odpowiedź. Dziś wiemy, że mądrzej było jednak kopać się z koniem zwanym Jałtą.

Dzisiejsze spory o powstanie to splot różnych przyczyn i intencji. Z jednej strony ekspresja osobistych poglądów, czy nawet fobii, jak w przypadku Kazimierza Kutza, który twierdzi, iż nie ma sensu czcić przegranych powstań. Warto tu zauważyć, że mówi tak człowiek, który swoimi filmami oddawał hołd uczestnikom trzech powstań śląskich - dwóch całkowicie przegranych, trzeciego, które zakończyło się połowicznym sukcesem.

Widzimy też spór na uchwały upamiętniające między partiami. To jednak klasyczna sejmowa przepychanka o to, kto będzie pierwszy, oraz o to, żeby konkurencji popsuć „zabawę".

Jednak najbardziej irytujące w debacie są wypowiadane z pełnym przekonaniem, wręcz pychą, twierdzenia. Z jednej strony o całkowitym bezsensie powstania styczniowego - no bo „poszli nasi w bój bez broni". Z drugiej - te akurat są rzadsze - o sukcesie powstania, które jak wiadomo zakończyło się militarną klęską.

NAJPIERW SIĘ UCZ, A POTEM POTĘPIAJ

Brakuje spokoju i rozsądku w tej dyskusji. Zamienia się ona w wyważanie otwartych drzwi. Dosłownie, gdyż odbywa się ona w oderwaniu od tego, o czym dyskutowano wcześniej i w oderwaniu od tego, co napisano. Gdy słucha się jej uczestników można być niemal pewnym, że nie czytali oni pomnikowej monografii powstania prof. Stefana Kieniewicza. Ani znakomitego eseju Pawła Jasienicy „Dwie drogi". A jest to - obok „Rozważań o wojnie domowej" - chyba najdoskonalsze dzieło Lecha Beynara (jak naprawdę nazywał się Jasienica). Tak, esej, ale nadzwyczajnie dojrzały intelektualnie. Najbardziej pewne opinie wydają ci, którzy nie przeczytali też „Roku 1863" Piłsudskiego, czy prac prof. Henryka Wereszyckiego.

Ci wszyscy autorzy, bogaci swoją wiedzą, przedstawiają zniuansowany obraz. Żałują strat, ale też widzą, że kolizja była nieunikniona. Nie był to wynik rzekomego polskiego „liberum conspiro", ale zderzenie brutalnej i durnej polityki caratu z coraz bardziej dynamicznym, modernizującym się społeczeństwem polskim. Taki bunt wybuchłby nie tylko w Polsce. Zdesperowani i rozwścieczeni ludzie najpierw protestują, a potem, gdy ktoś do nich strzela, chwytają za broń na całym świecie. Taka jest natura ludzka. Tak było w Kongresówce, bo powstanie poprzedziła kilkuletnia walka cywilna. Walka o minimum autonomii, czyli czegoś, co - de facto - nie było rzeczą do zaakceptowania dla caratu. Ci autorzy widzą też pozytywy wstrząsu, które powstanie przyniosło narodowi polskiemu. A są one niebagatelne.

Zresztą, czy można zawsze potępiać tych, co „poszli w bój bez broni"? Rob otnicy w Poznaniu w 1956, Trójmieście 1970, wreszcie cały ruch „Solidarności" to był pójście w „bój bez broni". Nikt nie potępia tych wybuchów. Dlaczego? Bo dobrze znamy okoliczności ich wybuchu. W przypadku powstania styczniowego dobrze też jest je poznać, aby móc potem wyrokować.

FOTO Film Polski

PIERWSZORZĘDNY REŻYSER
DRUGORZĘDNY

WIESŁAW CHEŁMINIAK

Quentin Tarantino od lat kręci ten sam film. Zmieniają się aktorzy i dekoracje, ale treść pozostaje niezmienna – krwawa zemsta.

Podziwiam ludzi, którzy dopatrują się w dziełach autora „Wściekłych psów" ukrytych sensów i analizują je z takim zacięciem, jakby chodziło o filmowy odpowiednik „Ulissesa". Niedługo minie 20 lat, odkąd Tarantino został okrzyknięty geniuszem kina i apostołem postmodernizmu. Fakt, że w twierdzy snobów, czyli na festiwalu w Cannes „Pulp Fiction" wygrało z „Czerwonym" Kieślowskiego do reszty rozbroił krytykę. O tytułowym bohaterze „Django" można przeczytać w gazetach, że przypomina prezydenta Obamę, a jego ekranowy partner, niemiecki łowca głów, ma w sobie coś z Karola Marksa. Film dostał pięć nominacji do Oscara, więc musi zachwycać, nawet jeśli nie zachwyca.

Wstyd się przyznać, ale na „Django" ziewałem. Dopóki na ekranie rządził wspomniany łowca głów, czyli Christoph Waltz, nie było jeszcze tak źle. Kiedy jednak na pierwszy plan zaczął wysuwać się czarnoskóry mściciel czyli Jamie Foxx, fabuła zupełnie oklapła. Nie tylko dlatego, że Waltz to aktor lepszy o klasę. Reżyser Tarantino zanadto ufa scenarzyście Tarantino: celebruje każdą scenę, którą tamten napisał. Poza tym, największą frajdę sprawia mu inscenizowanie krwawych jatek. Do tego, że ludzie to balony wypełnione posoką, które po ostrzelaniu z broni palnej pękają, wykonując przy tym efektowne fikołki, już się przyzwyczailiśmy. Z nowych atrakcji mamy zagryzanie niewolnika przez psy oraz replikę śmiertelnych zapasów z uczty u Nerona (ciekawe, czy Tarantino czytał Sienkiewicza?). Rekord z pierwszej części „Kill Billa", gdzie na planie zużyto 450 galonów sztucznej krwi, pozostaje niezagrożony, ale stężenie sadyzmu jest bodaj większe.

Django to chwat, co się zowie. Trzyma się w siodle lepiej niż John Wayne, a strzela celniej niż Clint Eastwood. Tylko z czytaniem ma niejakie problemy. W tym filmie wszyscy biali są źli (z jednym chwalebnym wyjątkiem), a wszyscy czarni dobrzy (z jednym paskudnym wyjątkiem). Potomkowie Europejczyków to rasiści, niezależnie od posiadanego majątku i wykształcenia. Najgorsi są plantatorzy, którzy pod pozorami ogłady skrywają totalne zezwierzęcenie. Wobec takich kreatur kodeks honorowy, znany ze starych westernów, nie obowiązuje. Można strzelać do nieuzbrojonych i do kobiet. Do dzieci pewnie też, choć akurat tym razem żadne się nie nawinęło pod muszkę.

W kategoriach technicznych QT daje radę. Żonglerka filmowymi i muzycznymi cytatami idzie mu sprawnie, jak zwykle. Pozostaje tylko ubolewać, że tak sprawny twórca postanowił, że nigdy nie dorośnie. No cóż, status mistrza wysokobudżetowego kina klasy B ma swoje zalety. Wielu widzów uwielbia Tarantino właśnie za to, że nadał filmowej tandecie sznyt nowoczesności i wprowadził ją na salony. Od faceta dobijającego 50-tki można by jednak oczekiwać czegoś więcej, niż obmyślanie sposobów na efektowną rozwałkę.

„Django" uchodzi za antyrasistowski manifest. Kto chce, niech wierzy, że reżyser postanowił uczcić 150. rocznicę zniesienia niewolnictwa w USA, dokonując przy okazji ideologicznego coming-outu. Osobiście podejrzewam, że QT nie ma żadnych poglądów politycznych, a rzekomy antyrasizm służy mu jako parawan, za którym może do woli używać tak przez siebie lubianego, lecz wyklętego w USA słowa „nigger".

Co jest motorem działania bohaterów ostatnich czterech (a jeśli „Kill Billa" liczyć podwójnie, to pięciu) filmów boskiego Quentina? Zemsta. W „Death Proof" feministki masakrują prześladowcę kobiet, w „Bękartach wojny" Żydzi dają łupnia nazistom, w „Django" Murzyn wycina w pień członków i sympatyków Ku Klux Klanu. Idąc tym tropem, następna fabuła powinna traktować o gejach wymierzających sprawiedliwość homofobom przy pomocy kijów bejsbolowych. Albo o Indianach przeganiających precz osadników z Europy (po ich wcześniejszym oskalpowaniu). Łaknąca mocnych wrażeń publiczność będzie zachwycona, a poprawność polityczna zamknie usta oponentom. Może ten Tarantino jest jednak geniuszem?

Do tego, że ludzie to balony wypełnione posoką, które po ostrzelaniu z broni palnej pękają, wykonując przy tym efektowne fikołki, już się przyzwyczailiśmy. Z nowych atrakcji mamy zagryzanie niewolnika przez psy oraz replikę śmiertelnych zapasów z uczty u Nerona (ciekawe, czy Tarantino czytał Sienkiewicza?)

BLOG WOJENNY NIE TYLKO O WOJNIE

MARIUSZ CHŁOPIK

Na korzyść zafganistanu.pl działa także to, że reporter nie stara się zajmować „stanowiska moralnego" wobec misji. Nie jest jej adwokatem, ale nie jest też oskarżycielem. Jest reporterem, więc relacjonuje

Blogowi wojennemu zafganistanu.pl dość łatwo być bezkonkurencyjnym. To jedyny polski blog wojenny z prawdziwego zdarzenia. Ale nawet jeśliby ta konkurencja była, to ciężko byłoby jej pobić stronę prowadzoną przez dziennikarza Interii.pl Marcina Ogdowskiego. Reporter wojenny od 2004 roku do tej pory był na dziesięciu dłuższych wyjazdach do Iraku i Afganistanu. Blog jest nieprzerwanie prowadzony od sierpnia 2009 r. Można tam znaleźć wszystko to, co powinno być: informacje, wywiady i zdjęcia.

Ogdowski dobrze oddaje realia najważniejszej misji pokojowej w historii współczesnej polskiej armii. Wraz z nim wnikamy w rzeczywistość, z jaką muszą zmagać się polscy żołnierze. Wojskowy żargon Ogdowskiego nie powoduje, że treść staje się niezrozumiała, a z drugiej strony pozwala lepiej poczuć „misję" w Afganistanie.

Jedno zastrzeżenie: osoby spodziewające się krwi, ognia i pyłu bitewnego się zawiodą. I nie da się ukryć, że to dobrze. Ogdowski za to wiernie odtwarza zwykły dzień misji, codzienne obowiązki, ale też choćby relację z gali bokserskiej, w której wzięli udział żołnierze polscy i amerykańscy, czy relację z ostatnich świąt Bożego Narodzenia. Oczywiście, opisy wojskowych walk, relacje z patroli także się na blogu znajdują, ale Ogdowski nie epatuje tym - celem bloga nie jest sensacja, a rzetelna relacja.

Na korzyść zafganistanu.pl działa także to, że reporter nie stara się zajmować „stanowiska moralnego" wobec misji. Nie jest jej adwokatem, ale nie jest też oskarżycielem. Jest reporterem, więc relacjonuje. Marcin Ogdowski jest także autorem książki „Zafganistanu.pl. Alfabet polskiej misji", która jest rozszerzeniem wpisów z jego bloga. Została bardzo dobrze przyjęta przez czytelników, jak i wojskowych, którzy zresztą nieraz krytykują Ogdowskiego. Ułożona w formę alfabetu książka zaczyna się od zwrotu „ajdik". Zwrot ten (spolszczony) oznacza improwizowane materiały wybuchowe, które powodują 2/3 polskich strat w Afganistanie ...

Napisz i wygraj!

iPad mini

Ogłaszamy konkurs „Zostań redaktorem Konceptu".

Konkurs kierowany jest do studentów i absolwentów uczelni wyższych w Polsce. Głównym celem naszej inicjatywy jest włączenie do zespołu „Konceptu" studentów oraz pracowników naukowych wyróżniających się ciekawymi pomysłami i po prostu dobrym piórem. Poszukujemy osób, które nie boją się wyzwań, lubią pisać i chcą współtworzyć jedną z największych gazet akademickich w Polsce.

Tematyka artykułów - „Wyzwania stojące przed …":
a) polskimi studentami,
b) polskimi uczelniami,
c) polską gospodarką,
d) polskim społeczeństwem.

Główną nagrodą w konkursie jest iPad mini z Wi-Fi, 16 GB. Dla osób wyróżnionych w naszym konkursie czekają książki autorstwa Andrzeja Mellera („Miraż, trzy lata w Azji") i Marcina Wrony („Wrony w Ameryce"), ufundowane przez wydawnictwo The Facto. Artykuł ma być własnym dziełem, nigdzie wcześniej nie publikowanym i nie przekraczać 6 tys. znaków (ze spacjami).
Zwycięzców wytypuje jury w składzie: Wiktor Świetlik (przewodniczący), Piotr Gursztyn, Igor Zalewski, Marcin Rosołowski, Anita Sobczak.

Artykuły należy przesłać do 20 lutego 2013 r. na adres: **redakcja@gazetakoncept.pl**.
Ogłoszenie wyników nastąpi do 10 marca 2013 r. na łamach dwutygodnika akademickiego „Koncept".

Szczegółowe zasady konkursu znajdują się w regulaminie dostępnym pod adresem **www.fundacjainicjatywmlodziezowych.pl**.
Wszelkie pytania prosimy kierować na adres e-mail: **redakcja@gazetakoncept.pl**.

W mailu prosimy o podanie danych kontaktowych: imienia, nazwiska, numeru telefonu oraz zamieszczenie następującej klauzuli: "Akceptuję regulamin konkursu zamieszczony na stronie internetowej **www.fundacjainicjatywmlodziezowych.pl**. Wyrażam zgodę na przetwarzanie przez Fundację Inicjatyw Młodzieżowych moich danych osobowych w celach związanych z realizacją konkursu, w tym dostarczenie nagrody. W przypadku wygranej, wyrażam zgodę na publikację w dwutygodniku "Koncept" oraz na Facebooku, mojego imienia i nazwiska."

Partnerami konkursu są: Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich, Radio Wnet oraz Wydawnictwo The Facto.

SDP Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich

RADIO wnet.pl

THE FACTO

SZPRYCOWANIE NA EKRANIE

WITOLD SKRZAT

Doping i sport trzymają się mocno za ręce. Ta przyjaźń trwać będzie tak długo, jak długo wielkie pieniądze napędzać będą sportową machinę.

Jakie słowo podbiło media na początku tego roku? Doping. Tyle, że tym razem to nie są kolejne szczegóły z zaplecza amerykańskiego przemysłu dopingowego, nie są to kolejni „szprycerzy" złapani na gorącym uczynku. W 2013 r. doping zaczyna marketingową kontrofensywę, zaczyna się kolejna faza oswajania publiczności z niecnym (?) procederem. I znów, jak to się dzieje od lat, na czele peletonu złożonego z dopingowej elity jest kolarz. To Lance Armstrong, najsłynniejszy dopingowy banita ostatnich lat. Jego wystąpieniem w telewizyjnym show Oprah żył cały sportowy świat. Teza, dosadnie postawiona przez amerykańskie media, była jasna: nie chodziło o kolejny etap linczu na upadłym sportowcu. Chodziło to, by Lance, wobec nawału dowodów jego dopingowej przeszłości, przyznał się do wszystkiego. I powiedział, że od teraz znów jest czysty. Znów jest bohaterem, którego triumfy w Tour de France oglądały dziesiątki milionów osób i którego prawa do wizerunku kosztowały miliony dolarów rocznie.

- He is clean again? (on jest znów czysty?) – z nadzieją pytał więc nagłówek na stronie internetowej CNN.

KENIJSKI CUD

Czy marketingowa operacja się uda? Czas pokaże. Jednak ta medialna szopka pokazuje, że doping w sporcie dopiero zaczyna pokazywać swoje prawdziwe oblicze. Już niedługo nie będzie trzeba nawet przepraszać. Bo i za co, skoro dla wielu zawodowców jest jasne, że bez dopingu w niektórych dyscyplinach nie ma co liczyć na miejsca na podium. A więc nie mają wyboru.

- Doping będzie zawsze, bo niektórzy po prostu lubią chodzić na skróty, łamiąc wszelkie reguły – przyznaje Katarzyna Rogowiec, utytułowana paraolimpijka i członkini polskiej Komisji do Zwalczania Dopingu w Sporcie oraz Komitetu Zawodników przy Światowej Agencji Antydopingowej.

Ostatnie sukcesy antydopingowej krucjaty odsłaniają prawdziwe oblicze współczesnego sportu. Do niedawna świat zachwycał się np. sukcesami kenijskich biegaczy. Jak na zawołanie wygrywali biegi na dłuższych dystansach: od 800 m po maratony. Mieli być produktem, wybrykiem natury, jako że rekrutowali się zwykle z rejonów doliny Rift w Kenii. Tam, według afrykańskich legend, na płaskowyżu przyszli mistrzowie od małego pośli krowy oddychając rozrzedzonym powietrzem.

- Okazuje się jednak, że tam jest nie tylko rozrzedzone powietrze, ale i laboratoria, w których kwitł dopingowy proceder. Pomagał fakt, że Kenia leży tysiące kilometrów od siedziby najbliższej komisji antydopingowej. A skoro ryzyko lotnych kontroli było niewielkie, to i rosło w siłę dopingowe zaplecze kenijskiej szkoły biegania – mówi w rozmowie z „Konceptem" jeden z reprezentantów Polski w lekkiej atletyce. Prosi o anonimowość, bo jak twierdzi „doping to ryzykowny temat".

Może i temat ryzykowny, ale kto nie ryzykuje, ten nie zarabia. A to udowodniło śledztwo niemieckich dziennikarzy w dolinie Rift. Okazało się, że za afrykańską machiną dopingową stoi najmocniejszy stymulant w dziejach ludzkości – pieniądze. I wcale nie chodzi tu o nagrody dla samych biegaczy. Oni byli tylko jednym z trybików, jak w każdym przypadku dopingowych sitw z różnych dyscyplin sportu.

MODELOWA MAFIA

- To już nie jest sport, to mafia – tak kolarz David Millar, kolega Katarzyny Rogowiec z komitetu zawodników walczących z dopingiem, skomentował doniesienia mediów o kenijskich biegaczach.

Przypadek kenijskich biegaczy jak w soczewce oddaje mechanizmy współczesnego dopingu: za fabryką afrykańskich mistrzów długich dystansów stała prężna organizacja w Europie, stworzona według biznesowych modeli. Każdy - od lekarzy przez trenerów do zawodników i menedżerów poszczególnych grup zawodników - dostawał swoją marżę od nagród za medale i zwycięstwa biegaczy. Jednak największe zyski trafiały do tych, którzy początkowo inwestują w nowoczesny doping dla przyszłych mistrzów. Tu trzeba wyłożyć nawet 30-50 tys. dolarów na jednego zawodnika. Swoje urywały też związki sportowe i media, głównie telewizje. Śrubowanie kolejnych rekordów przyciągało kolejnych sponsorów i widzów.

- Doping jest skuteczny tylko wtedy, gdy wpleciony jest w rozbudowany system szkoleniowy, gdzie spece od analityki medycznej skrupulatnie kontrolują cały proces. Zawodnik jest wbudowany w tą całą machinę, kosztowną układankę – ocenia Katarzyna Rogowiec.

A że to nie tylko droga, ale i ryzykowna zabawa? No problem - czym jest ryzyko w sytuacji, gdy za 130 minut biegu i wygranie maratonu w Nowym Jorku można dostać nawet 200 tys. dolarów premii? Lub gdy najszybszy człowiek na ziemi zarabia po 20 mln dolarów rocznie, a startuje ledwie kilkanaście razy w sezonie?

Figura woskowa Armstronga dziś jest symbolem swoich czasów bardziej niż była. Czasów dopingowych

FOTO Fotopedia

RACHUNEK ZA EMOCJE

W kulturze zwycięzców, gdzie w oku telewizyjnej kamery mieści się już niekoniecznie podium z medalistami igrzysk, ale jedynie sam triumfator, walka o pierwsze miejsce jest bezwzględna. Jeśli w finale sprintu na 100 metrów wygra biegacz sponsorowany przez Nike, medialnie przyćmi tego od Pumy. Za metą zdejmie swoje efektowne buty, pomacha nimi przed kamerami i tym samym zwieńczy sukces marketingowego planu. A bez rekordów, pojedynków, seryjnych wygranych, absolutnych bohaterów eskalujących emocje masowej widowni sport sprzedaje się słabiej. I koło się zamyka.

- Polacy nie mają wielkich wpadek, bo i u nas nie bierze się dopingu w tak profesjonalny sposób jak na Zachodzie, gdzie sport przyciąga o wiele więcej widzów i pieniędzy. Wielu naszych sportowców być może spróbowałoby z np. EPO, ale nie ma na to pieniędzy – uważa jeden z czołowych biegaczy w Polsce.

Czy więc sport bez dopingu jest możliwy? Jest, wystarczy otworzyć jedne z najdłuższych i najczęściej aktualizowanych haseł w Wikipedii. To te o wpadkach dopingowych w kolarstwie i lekkiej atletyce. Pierwsze przypadki ostrego dopingu zaczynają się dopiero na początku XX wieku. A więc sport bez dopingu jest możliwy, tyle że w XIX wieku.

NAJSŁYNNIEJSZE AFERY DOPINGOWE OSTATNICH LAT:

WYDOLNY JAK LANCE

Sprawa Lance'a Armstronga ma swoje początki w 2001 r. Wtedy pojawiły się pierwsze informacje o podejrzeniach stosowania przez kolarza dopingu wydolnościowego. Latem zeszłego roku Amerykańska Agencja Antydopingowa (USADA) oficjalnie oskarżyła Armstronga o stosowanie dopingu w latach 1996–2011. Międzynarodowa Unia Kolarska odebrała mu większość zdobytych trofeów i nałożyła na niego dożywotnią dyskwalifikację.

SZYBKI JAK BEN I MARION

Ben Johnson i Marion Jones to najwięksi dopingowi banici wśród lekkoatletów. Kanadyjski sprinter zadziwiał świat w latach 80. Na Igrzyskach w Seulu wygrał finał 100 m z rekordem świata 9,79. „Benfastic!" pisała kanadyjska prasa. Jednak trzy dni później Ben był już zerem, po tym jak okazało się, że w Seulu biegł naszprycowany sterydami.
Marion Jones to jedna z negatywnych bohaterek skandalu związanego z laboratorium Balco, które stworzyło całkiem szczelny i skuteczny system dopingu. Jones przyjmowała dziesiątki zabronionych substancji pomagających jej zostać najszybszą kobietą na świecie. Na Igrzyskach w Sydney w 2000 r. zdobyła pięć medali, w tym trzy złote. Upadek był szyki i bolesny - kilka lat później całą kolekcję krążków musiała zwrócić, po tym jak udowodniono jej udział w aferze Balco. W efekcie Jones popadła w osobiste i finansowe tarapaty.

SOCZYŚCI BASEBALLIŚCI

O skandalu wywołanym książką Jose Canesco, byłej gwiazdy baseballu, mało kto w Polsce słyszał. Jednak za granicą, były kochanek Madonny, wywołał w 2005 r. niemałe zamieszanie. Canesco, zachwalając sterydy, dokładnie opisał, która z ówczesnych gwiazd baseballu zażywa te niedozwolone środki. Wśród wymienionych przez Canesco kolegów z branży znaleźli się wszyscy bohaterowie Ameryki początku XXI wieku. Wyszło na jaw, że to sterydy a nie tylko godziny na siłowni miały wpływ na atomowe odbicia takich asów jak m.in. Mark McGwire i Juan Gonzalez.

GŁODNI JAK PELETON

Patrząc na afery dopingowe, jakie wstrząsały kolarskim Tour de France w ostatnim 15-leciu można odnieść wrażenie, że jest to przede wszystkim wyścig sztabów medycznych z policją antydopingową.
Przez kilkanaście lat przez Tour przetoczyło się kilka potężnych burz, przy których sprawa Lance'a Armstronga jest jedynie jednym z epizodów. Zaczęło się w 1998 r. od afery w grupie Festina, gdy dwa dni przed startem wyścigu, celnicy na granicy przypadkowo znaleźli arsenał EPO i sterydów w przyczepie należącej do grupy. W sumie 600 butelek różnych substancji dopingowych, kolejne kilka tysięcy znaleziono po przeszukaniu biur i siedzib reszty uczestników Touru. Potem, co kilka lat, większą wpadkę notowała któraś z kolarskich grup, jeśli np. zapomniała, że nie wyrzuca się zużytych strzykawek do publicznych koszy na śmieci (Astana). Od 1998 r. aż do 2006 r. pierwsze trzy miejsca w Tourze zajmowali kolarze, wobec których są dziś dowody na to, że przyjmowali niedozwolone wspomaganie. O dziwo, w ostatnim Tourze cała czołówka peletonu to nowe nazwiska, czyste od dopingu. Pytanie, na jak długo czyste.

LEKCJA MAZURKA

ROZPOREK PREMIERA NETANJAHU

ROBERT MAZUREK

Jeden pan nie wie kto jest premierem Izraela, a że jest dziennikarzem – sportowym, ale przecież dziennikarzem – to postanowił się swą niewiedzą podzielić ze światem. Przy okazji oskarżył kolegów, że mu nie powiedzieli.

Ostatnio moja dziewięcioletnia córka pytana o styl architektoniczny mijanego kościoła rzuciła na odczepnego „Nie wiem". Nie żeby nie rozpoznawała gotyku, ale tak wydało jej się prościej, krócej, no i ojciec da spokój. Czwartoklasistka ma prawo do niewiedzy, znęcał się nad nią nie będę, proszę nie zawiadamiać opieki społecznej. Niepokojące jest jednak, że tak szybko załapała trend.

Bo przecież nieważne czy wiesz czy nie wiesz, czy jesteś erudytą czy cymbałem, książkowym molem czy padłeś na „Rogasiu z Doliny Roztoki". My tu wszyscy, ha, ha, ha, takie głupki bardziej jesteśmy i co nam zrobicie? Pracujemy w telewizji, banku, korporacji, wykładamy na uczelni i grzecznie wam mówimy, spadajcie na szczaw! Dobrze się bawimy, uczciwie pracujemy na ile nam rozumku i sił starcza, więc mamy prawo po robocie odpocząć, odstresować się.

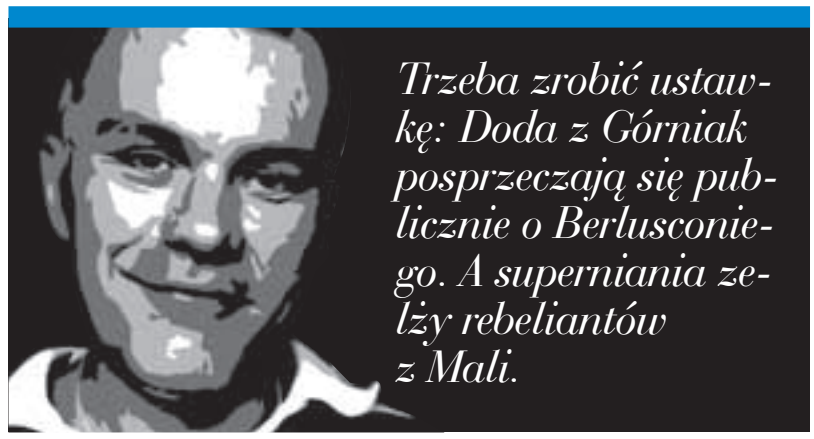

Trzeba zrobić ustawkę: Doda z Górniak posprzeczają się publicznie o Berlusconiego. A superniania zeliży rebeliantów z Mali.

Od czytania książek wzrok się psuje, robią się grube łydy i zajady, amen.

Pan redaktor odkrywający, że nie ma pojęcia o Izraelu chciał wywołać dyskusję o współczesnym świecie, tudzież mediach, które zamiast świat opisywać go deformują. Tak, deformują, bo osiemnaście i pół raza więcej czasu niż na konflikt na Bliskim Wschodzie, który może nas wysadzić w powietrze, poświęcają na opisy losów mamy Madzi… A propos, koledzy, a co u tatusia? Może by mu ktoś pomógł książkę napisać? Byłby hicior, byle bogato ilustrowany! W zasadzie można zrezygnować z literek.

Tak, kolego redaktorze, media ludzi ogłupiają do reszty, prawda to. W informacyjnych telewizjach zamiast materiałów ze świata, reportaży o bezrobociu w Hiszpanii, dyskusji o Obamacare czy raporcie na temat reform Orbana mamy mamę Madzi / Szymonka (niepotrzebne skreślić), Perfekcyjną Panią Domu i przyklapłą nieco Dodę / Edytę Górniak / Korę. Owszem, w tabloidach na próżno szukać sporów na temat modelu Unii Europejskiej, zgadza się, że…

Ale, ale, kolego redaktorze, czy naprawdę nie da się wiedzy na te tematy zdobyć? Mam wrażenie, że sceną polityczną Izraela interesuję się ledwie przeciętnie, ale bez trudu sklecę kilka zdań na temat zbliżających się wyborów do Knesetu, opowiem o roli partii rosyjskojęzycznych i slalomach premiera Netanjahu w sprawie osiedli na ziemiach palestyńskich. A jak pan kolega poprosi, to doczytam i powiem więcej.

Ów niewiedzący dziennikarz ma żal do świata, że się zdemokratyzował i zdurniał. Tłum jest tępy, a że mass media obsługują masy, to i mówią do nich językiem zrozumiałym. Ale gdyby pan redaktor nie ograniczał się do lektury pudelka i bruku - o czym z niejaką dumą donosi – to może dałoby się wyjść poza krąg serialowych gwiazdeczek i ich kłopotów? Co, nie weźmie pan niczego innego niż „Gala" do ręki? Ma pan zablokowane inne strony niż plotek.pl w komputerze? Naprawdę nie wiem jak panu pomóc. Chociaż, hm, mam pewien pomysł…

Trzeba zrobić ustawkę: Doda z Górniak pospierają się publicznie o Berlusconiego, Superniania zeży rebeliantów z Mali, a aktorzy Kot i Karolak zadeklarują porzucenie swych partnerek jeśli nie będą czytały codziennych raportów Bena Bernanke. W ten sprytny sposób wiedza o tym trafi pod strzechy. Genialne, nie?

To jak, wchodzimy w to?

KARTKA OD MELLERA

COCHIN SZTUKĄ STOI

ANDRZEJ MELLER

Miasto Cochin jest niekiedy nazywane keralską Wenecją. Ta biznesowa stolica Kerali położona jest na rozlewiskach, gdzie słona woda z lagun łączy się ze słodkowodnymi rzekami. Stąd też podobieństwo do Wenecji, wiele tu kanałów, a jedną z głównych form transportu są łodzie. Miasto od starożytności było niejako zachodnią bramą Indii. Docierali tu Arabowie przynosząc Islam, przypływali kupcy chińscy zaznajamiając miejscowych rybaków z dziś typowymi dla Kerali sieciami, kolonizowali wybrzeże Portugalczycy, Holendrzy i Anglicy. Moją ciekawość wzbudziła wspólnota żydowska, w końcu Żydzi w tym regionie świata są rzadkością. Niestety spóźniłem się o parę lat. Pierwszy raz Żydzi dotarli tu ponoć po zburzeniu drugiej Świątyni Jerozolimskiej w 70 roku naszej ery. Miejscowi władcy pozwolili im żyć spokojnie w zamian za udziały w handlu z Bliskim Wschodem. Druga grupa Żydów, tym razem europejskich osiadła w Cochin ratując się ucieczką przed hiszpańską inkwizycją w XVI wieku. W 1568 roku w tzw. Żydowskim Mieście powstała Synagoga Piradesi, którą można zwiedzać do dziś, a bilety w niej sprzedaje jedna z ostatnich potomkiń żydowskich osadników, bowiem w ostatnich latach Żydzi wrócili do Izraela. Pozostało po nich cudne „Jew Town" gdzie dziś handlem w sklepikach i kramach zajmują się brodaci muzułmanie z Kaszmiru. No cóż, spóźniłem się. Na dodatek, do synagogi dotarłem akurat w szabas i Jusup, właściciel jednej z galerii, powiedział mi, że „dziś Żydzi śpią, mają święto".

- A ilu ich tu zostało? - spytałem go.

- Sześciu starców, nie więcej, my friend - odparł.

Krążąc po Jew Road, zaglądając do kaszmirskich sklepów „Shalom spices" zorientowaliśmy się, że w Cochin właśnie rozpoczyna się pierwsze indyjskie Biennale Sztuki, a do miasta zjechali artyści i ich prace z całego świata. Zaczęliśmy zaglądać do galerii i okazało się, że to miasto zaczyna tętnić sztuką. Na potrzeby instalacji zaaranżowano stare, ogromne magazyny, fabryki i efekt jest imponujący. Następnego dnia za 50 rupii (3PLN) kupiliśmy bilety na wszystkie wystawy i rozpoczęliśmy wielogodzinne zwiedzanie. W pewnym momencie nieco opadłem z sił, więc postanowiłem napić się kawy. Przy kasie usłyszałem jak dwie dziewczyny rozmawiają po polsku i od słowa do słowa okazało się, że od jakiegoś czasu Kamila i Wioleta podróżują z chłopakiem, na którego dostałem namiar z Polskiego Instytutu w Delhi. Paweł Skawiński podobnie jak ja jest dziennikarzem, który od lat wałęsa się po Azji i wydał nawet książkę o regionie pt. „Gdy nie nadejdzie jutro". Żeby było jeszcze śmieszniej, okazało się, że Paweł z dziewczynami mieszkają parę metrów od nas. Ponieważ grzechem byłoby nie przyjąć zaproszenia na „kabanosy i żubrówkę", wieczorem poszliśmy wszyscy w plener nad wodę, gdzie przy plastikowych stolikach wśród miejscowych łowiących ryby zrobiliśmy sobie małą ucztę. Śmiechy i język polski rozchodziły się w stolicy indyjskiej sztuki do późna…

Po Żydach w Cochin pozostały budowle, tradycja i sześciu starców

koncept DWUTYGODNIK AKADEMICKI, Wydawca: FIM, adres redakcji: ul. Solec 81b; lok. 73A, 00-382 Warszawa,
Redaktor naczelny: Wiktor Świetlik, projekt graficzny: Piotr Dąbrowski, email: redakcja@gazetakoncept.pl.
Aby poznać ofertę reklamową prosimy o kontakt pod adresem: reklama@gazetakoncept.pl

OSOBY ZAINTERESOWANE DYSTRYBUCJĄ „KONCEPTU" NA UCZELNIACH, PROSIMY O KONTAKT POD ADRESEM: redakcja@gazetakoncept.pl